

Maria Peszek: zawsze obok

Skandalistka, kontestatorka, która w 2012 roku przyznała się przed całą Polską, że chorowała na neurastenię, nie wierzy w Boga i nie chce mieć dzieci, oburza swoimi poglądami zwolenników prawej strony sceny politycznej. Za śmiałe teksty śpiewane na płytach „Jezus Maria Peszek” (2012) i „Karabin” (2016) jedni uznają ją za ikonę buntu przeciw ograniczaniu wolności, a inni wylewają pomyje hejtu. Piosenkarka wyznaje, że coraz trudniej jej się żyje w tak podzielonym kraju, nie czuje się dobrze, będąc ambasadorką Polski, a w swojej twórczości przeżywa kryzys: – Jako artystka dotarłam do granicznej formy ekspresji, coś się we mnie wyczerpało. Mam potrzebę zejścia z tych barykad artystycznych, udania się na „wewnętrzną emigrację”, żeby móc wrócić ze zdwojoną siłą. Nie wiem, jaki będzie ten powrót: liryczny, poetycki czy zabawowy, ale na pewno będzie wyrazisty, bo życie jest za krótkie na to, żeby nie robić rzeczy totalnych.

Przywołany na spotkaniu temat „emigracji wewnętrznej” jest znany w polskiej historii. Artysty udawali się na nią, gdy wyczerpali cały arsenał innych środków, poprzez które mogli się przeciwstawić reżimom. Taka emigracja bywała dla niektórych ucieczką od zaangażowania i ponoszenia trudów walki. Jak jest w przypadku Marii Peszek? – Dla mnie „emigracja wewnętrzna” to proces przegrupowywania sił, moment zastanowienia się, co robić dalej. Jestem artystą, uważam, że artysta przede wszystkim powinien być skuteczny, a nie zgorzkniały, pozbawiony energii i możliwości komunikowania się ze swoją publicznością. A ostatnie moje doświadczenia dotyczące koncertowania z płytą „Karabin” są bardzo dramatyczne, bo w wyraźny sposób ograniczono mi możliwość występowania. Było mnie mniej w mediach, choć ostatnia trasa koncertowa naprawdę się udała, zagraliśmy 60 koncertów, a ludzie dziękowali mi, że tak odważnie śpiewam o sprawach społecznych. Ale spotkałam się też z wieloma odmowami, nie chcieli mnie radiu, moje koncerty były oprotestowywane. Każda instytucja, która jest w jakimś stopniu dotowana państwowymi pieniędzmi, parokrotnie zastanowi się, czy zaprosić Marię Peszek. Żadna państwowa rozgłośnia telewizyjna i radiowa nie puszczała moich utworów. Żadna instytucja medialna nie proponowała mi nagrań na żywo. Nie mam już 18 lat tylko 43, a bycie punkrockowcem w tym wieku jest coraz trudniejsze. Gdy się ma naście lat, to można być na pierwszej linii frontu i całą energię poświęcać na walkę, ale jak się jest trochę starszym, to wystąpienia pozostawiają dużo większe wyrwy w gospodarowaniu energią. Nie chcę być artystą-kombatantem, który roztrząsa swoją trudną sytuację. Może lepiej wycofać się i pomyśleć, co zrobić, by później powrócić. Jest taka maksyma sztuki walki kung-fu: „połóż się jak jagnię, by wstać jak tygrys” – teraz właśnie tak się czuję. Planuję ośmiomiesięczną podróż za granicę, nie po to, żeby uciec, ale chcę zebrać siły, by wrócić i w skuteczniejszy sposób móc artykułować to, co mam do powiedzenia, a jest jeszcze wiele rzeczy, którymi chcę się z wami podzielić.

Artystka stwierdziła, że nazwanie jej postawy „emigracją wewnętrzną” jest dużym skrótem, bo jej zachowanie wynika raczej z poczucia uczciwości. Przywołała słowa aktora Krzysztofa Majchrzaka: „elementarnym obowiązkiem artysty jest angażowanie się tylko w takie rzeczy, na które nasze DNA reaguje euforią” – A rzeczywistość w naszym kraju nie wywołuje we mnie euforii, więc uczciwiej jest się wycofać. To nie jest przejaw tchórzostwa, a wręcz przeciwnie – odwagi. Chce odnaleźć na nowo moc, wrócić ze wzmożoną siłą i znaleźć nowe środki artystycznego wyrazu. Dwie moje ostatnie płyty były bardzo zaangażowane społecznie, a moje poglądy polityczne są bardzo czytelne. Dostaję po głowie za szczerość, brawurę, dosadność pisanych przeze mnie tekstów. Zawsze jednak dziwi mnie, że ludzie tak agresywnie reagują na moją twórczość. Mój partner, z którym jestem od 25 lat, mówi wtedy: „kiedy zdejmujesz majtki i wystawiasz gołą pupę, jak możesz się dziwić, że ktoś ci spuszcza lanie”. Mój sposób na komunikowanie się ze światem to wyrazistość. I szkoda mi czasu na metafory. Krzyk, który był charakterystyczną cechą tego, co robiłam, już mnie znużył. Ale pewnie jest coś

po między szeptem a krzykiem i bardzo jestem tego ciekawa.

Maria Peszek wspominała, że część swego dzieciństwa spędziła w Łodzi, przez 6 lat mieszkała na Osiedlu Teofilów, przy ul. Traktorowej. – To wcale nie był anarchistyczny dom. Rodzice stawiali mnie i mojemu bratu wyraźne wymagania, ale najważniejsze było dla nich poczucie wolności. Dawali nam prawo do błędu, własnych poszukiwań, wyborów i dróg. To mnie ukształtowało – wyznała artystka, która uważa się za patriotkę, choć jej patriotyzm odbiega od romantycznego mitu „cierpienia za miliony” z szramą martyrologii. Dla niej kochać ten kraj to tu płacić podatki, włączać się w tworzenie społeczeństwa obywatelskiego. – Uważam, że jest cała masa sposobów, którymi można służyć ojczyźnie. Nie ma takiej idei, kraju, dla których warto byłoby złożyć ofiarę z życia. Gdy śpiewałam „lepszy żywy obywatel niż martwy bohater”, nie zdawałam sobie sprawy, że w ciągu zaledwie kilku lat w naszym kraju wszystko się zmieni. Ale ani dla tamtej, ani dla tej, ani dla przyszłej Polski nie zdecydowałabym się umrzeć. Pochodzę z rodziny, w której patriotyzm jest specyficznie rozumiany, polega on na tym, że nie uznaje się czegoś takiego jak naród, dla mnie istnieje raczej zbiór jednostek, a im te jednostki będą bardziej szczęśliwe, tym lepszą społeczność będą tworzyć. Myślę, że najpierw trzeba zająć się osobistym szczęściem, a później przeżywać wspólnie np. cierpienie. W kontekście tego, co się teraz w Polsce dzieje te poglądy są dość wywrotowe, bo nasza kultura silnie zakotwiczona w katolicyzmie, który w moim mniemaniu jest oparty na poczuciu winy i wstydu, nie sprzyja poszukiwaniu osobistego szczęścia. To jest podejrzane. Być może ten moment historyczny – mroczny i straszny ma tylko jedną dobrą stronę – stanie się asumptem do stworzenia społeczeństwa obywatelskiego. Być może jedynym jasnym punktem w tych dziejowych ciemnościach, w który teraz weszliśmy, będzie budzenie się świadomości obywatelskiej.

Prowadząca spotkanie Anna Dudek, redaktorka „Wysokich Obcasów” zauważyła, że taka definicja patriotyzmu jest w Polsce zupełnie obca właściwie od 2015 roku (czyli od chwili dojścia do władzy Prawa i Sprawiedliwości – przyp. red.), kiedy do głosu dochodzą nacjonalizmy, a język dyskursu politycznego jest coraz brutalniejszy. Co się stanie, jeśli artyści, którzy powinni być kontestatorami, udadzą się na emigrację wewnętrzną. Społeczeństwo zostanie samo i odsłonięte na ciosy fanatyków? – Twórca jest od tego, żeby zapalać, podkładać ogień pod przemiany, wzniecać rewolucje, ale rewolucje są robione przez ludzi, nie przez artystów. Myślę, że nagrałam wystarczająco dużo piosenek, które dały odbiorcom powód do zastanowienia. Mam kłopot z tym, że wymaga się ode mnie uczestniczenia w manifestacjach, bycia twarzą różnych organizacji, mówi się: „Ty musisz, artysta powinien. Co się stanie, kiedy wy wyjedziecie, co z nami będzie”? Ja się zdecydowanie lepiej mam, gdy na demonstracjach ludzie wypisują na transparentach fragmenty moich piosenek. Krzyczę tylko na scenie, w tym jestem dobra, ale nie jestem najlepsza w pierwszym szeregu manifestacji, to nie jest mój świat. Oczywiście są artyści, którzy potrafią to łączyć, zazdroszczę im tego – odpowiada Peszek.

Redaktorka „Wysokich Obcasów” przywołała też książkę „Listy do młodego kontestatora” Christophera Hitchensa, w której amerykański dziennikarz i pisarz, znany z ostrych wystąpień przeciwko religii, stwierdza, że większość ludzi potrzebuje tzw. świętego spokoju, poczucia bezpieczeństwa i opieki ze strony państwa. Ale jest też inna kategoria ludzi tzw. „spoza”, awanturników, odszczepieńców, wichrycieli. Maria Peszek przyznaje, że należy do tej drugiej grupy. Najlepiej czuje się gdzieś obok, (o czym śpiewa w piosence „Pan nie jest mym pasterzem”: Pan nie prowadzi mnie/ Sama prowadzę się własną drogą/ Zawsze obok). – Może to zabrzmieć brutalnie, ale nie czuję się dobrze w stadzie, w masie, co nie znaczy, że to co robię, nie jest skuteczne – dodaje.

Na spotkaniu nie zabrakło politycznych wycieczek w stronę manifestacji w obronie Trybunału Konstytucyjnego czy praw kobiet zagrożonych sejmowymi ustawami dotyczącymi zaostrzenia przepisów antyaborcyjnych. Maria Peszek przyznała, że ten społeczny zryw ją fascynuje, dotyczy nie

tylko większych miast Poznania, Warszawy, Łodzi, bo np. protest w obronie Trybunału obserwowała na Mazurach w Węgorzewie, kiedy na ulicę wyszła niewielka grupa osób. – To było fantastyczne, bo czasami pojedyncze głosy mają dużo większą siłę niż masa. Mam nadzieję, że to, co teraz się w kraju dzieje jest początkiem czegoś wielkiego, że nie jest tylko sentymentalnym zrywem, kombatantstwem. A może stać się zarzewiem czegoś nowego, zwłaszcza, że w tym nowym ruchu biorą udział młodzi ludzie, którzy nie pamiętają komunizmu. Często spotykam się z muzykami, którzy byli kontestatorami w latach 80. i oni nam mówią: „to co wy teraz robicie to jest nic, wy tylko piszecie, śpiewacie, a my to naprawdę walczyliśmy”. Uważam, że to jest niesprawiedliwe, zawsze się złoścę, gdy nestorzy ruchu oporu zarzucają nam, że nic nie robimy, nie cierpimy po tych więzieniach jak oni. Wiadomo Polacy jednoczą się w chwili zagrożenia. Gdy za granicą spotykam ludzi chętnych do rozmowy o polskości, staram się wytłumaczyć im tę specyfikę tragizmu narodowego. Gdy odbierana jest nam wolność, świetnie się solidaryzujemy, ale nigdy nie mieliśmy okazji dłużej tą wolnością żyć, więc nie mieliśmy szansy, żeby zrozumieć, czym jest wolność. Jedno, co mnie smuci, to fakt, że przez te rozłamy pewne straty w społeczeństwie będą niepowetowane, długo będziemy się podnosić.

Justyna Muszyńska-Szkodzik